

Zbigniew Zieliński

Powstanie Wielkopolskie we wspomnieniach gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego

Niepodległość i Pamięć 16/1 (29), 235-249

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Zieliński

Warszawa

Powstanie Wielkopolskie we wspomnieniach gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego

Z punktu widzenia zapisu historycznych faktów rocznicę odzyskania niepodległości Polski po 123 latach niewoli można teoretycznie obchodzić począwszy od 8 stycznia 1918 roku, kiedy prezydent najpotężniejszego państwa sił sprzymierzonych – Woodrow Thomas Wilson w Kongresie Stanów Zjednoczonych w orędziu przedstawił 14 punktów jakie trzeba będzie przedsięwziąć, by świat po I wojnie światowej był sprawiedliwszy. Dla Polski ważny był 13 punkt o następującej treści: „Powinno powstać niezawisłe państwo polskie obejmujące terytoria zamieszkałe przez ludność niezaprzecalnie polską, któremu powinno się zapewnić wolny dostęp do morza; niezawisłość polityczna, gospodarcza oraz integralność terytoriów zamieszczanych przez tę ludność będą zagwarantowane mocą konwencji międzynarodowej”¹.

Okazało się, że dzięki wpływowi na prezydenta Wilsona – naszego rodaka Ignacego Jana Paderewskiego – ten punkt był drogowskazem dla zwycięzców nad państwami centralnymi tj.: Niemcami, Austrią i Italią – można powiedzieć „żeby Polska była Polską”.

Dalej losy Polski toczyły się wprawdzie z dużymi trudnościami i wysiłkiem zbrojnym, ale zapowiedziany kierunek odzyskiwania niepodległości był realizowany zgodnie z 13 punktem orędzia prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jestem przekonany, że kapitulujące Niemcy nie chcąc zadrażniać spraw ze Stanami Zjednoczonymi – wypuścili z więzienia w Magdeburgu – zdawałoby się, że wygodnego dla nich – brygadiera Józefa Piłsudskiego, aby ten objął władzę w odrodzonej Polsce. Tą samą drogą poszła utworzona przez nich wcześniej tzw. Rada Regencyjna, która 11 listopada 1918 roku przekazała władzę Tymczasowemu Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu.

Tak więc mamy kolejną datę odzyskania niepodległości (1918 rok), ale dotyczyła ona wtedy zaledwie 1/3 powierzchni przyszłego państwa polskiego. Natomiast święto niepodległości zostało ustanowione ustawą sejmową podpisaną przez prezydenta Rzeczypospolitej dopiero 23 kwietnia 1937 roku.

W roku 2008 po raz pierwszy tak uroczyście obchodzono 90. rocznicę odzyskania Wielkopolski w wyniku jedyne w historii Polski udanego powstania (grudzień 1918 styczeń – marzec 1919). Znów mamy do czynienia z rocznicą scalenia ziem zachodnich z centrum Polski.

1 Za: *Wielkie mowy historii*, t. 2, wybór i oprac. T. Zawadzki, Warszawa 2006, s. 216 (tłum. E. Żelazna).

W przyszłym roku będziemy obchodzić ważną dla historii Polski i Europy 90. rocznicę pokonania bolszewików oraz w 1921 r. odzyskania części Górnego Śląska.

Tak więc można stwierdzić, że praktycznie odzyskanie niepodległości i ukształtowanie terytorium całej Rzeczypospolitej nastąpiło w latach 1918-1921.

Biorąc pod uwagę wyżej wymienione daty i okoliczności odzyskania niepodległości nie sposób pominąć omówienia przebiegu działań Powstania Wielkopolskiego – przez wiele lat na ogół tendencyjnie przemilczanego, tak w okresie międzywojennym, jak i powojennym aż do dzisiejszej 90 rocznicy.

Niestety wynikało to z rozgrywek politycznych i „modnych” upodobań niektórych profesjonalistów z dziedziny historii.

W 90. rocznicę zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego niezbędnym staje się zapoznanie z punktem widzenia Naczelnego Wodza tego powstania gen. broni Józefa Dowbor-Muśnickiego na podstawie jego wspomnień opublikowanych 1935 roku w Poznaniu, a wznowionych wydaniem przez Bellonę w 2005 roku².

Rozdział XXIV – Armia Wielkopolska (fragmenty)

Po walkach w 1917-1918 roku I Polskiego Korpusu (ok. 38 tysięcy żołnierzy) przeciwko bolszewikom w rejonie Bobrujska, Mohylewa i Orszy – honorowego rozwiązania tego korpusu przez Niemców na linii frontu niemiecko-rosyjskiego w rejonie Mińska Litewskiego – gen. Józef Dowbor-Muśnicki przebywał w rodzinnym domu w Sandomierzu.

Tam przyjechał oficer z wiadomością, że komendant Piłsudski zaprasza generała aby ten przyjechał do Warszawy – pojechali. W Warszawie doręczono mi 7 stycznia 1919 r. dwa następujące pisma:

- 1) „Naczelna Rada Ludowa, Poznań Św. Marcin 40.
Skrzynka pocz. nr. 327. telefon nr. 4056 i 4086.
adres telegraficzny „Cerel” Poznań 6 stycznia 1919 r.

Jaśnie Wielmożny Pan Generał Porucznik Józef Dowbor-Muśnicki w Staszowie.

Wypadki w Księstwie Poznańskim przybrały takie rozmiary, że nie możemy im poddać. Potrzebujemy koniecznie wyższego wojskowego któryby objął dowództwo i zajął się organizacją naszych sił zbrojnych.

Ośmielamy się prosić Jaśnie Wielmożnego Pana Jenerała o natychmiastowy przyjazd do Poznania z oficerami sztabowymi, gdyż strata każdego dnia staje się dla nas wprost groźną.

W nadziei, że Jaśnie Wielmożny Pan Jenerał nie odmówi prośbie naszej, łączymy wyrazy czci i poważania.

Naczelna Rada Ludowa
Wojciech Korfanty. Adam Poszwiński.
(pieczęć: Naczelna Rada Ludowa).

2 J. Dowbor-Muśnicki, *Wspomnienia*, Warszawa 2005.

2) Komisariat Naczelnej Rady Ludowej. Aleje 1. skrzynka poczt. nr. 327. Poznań. 6 stycznia 1919 r.

Jaśnie Wielmożny Panie Generalne! P. Komendant Piłsudski zwrócił się do Naczelnej Rady Ludowej tydzień temu z propozycją, byśmy sobie wybrali na głównodowodzącego naszych sił zbrojnych Jaśnie Wielmożnego Pana lub gen. Michaelisa.

Komisariat N.R.L. postanowił jednogłośnie zwrócić się do Jaśnie Wielmożnego Pana z usilną prośbą o natychmiastowe przybycie do Poznania.

Postanowienie nasze zakomunikowaliśmy p. Piłsudskiemu telegraficznie i listownie. Ponieważ przyjazd JWPana dotychczas nie nastąpił, zwracamy się do Niego wprost z prośbą, a list nasz do Niego przesłaliśmy w kopji p. Piłsudskiemu, aby z nim być pod względem formalnym w porządku.

Oprócz tego zgłosił się do nas przez swych wysłańców pułk. Adolf Dąbrowski z propozycją przyjazdu tutaj i utworzenia pułku im. Tadeusza Kościuszki. Prosimy sprawę tę osądzić i tam na miejscu już kwestję rozstrzygnąć.

Łączę wyrazy czci i poważania uniżony sługa Wojciech Korfanty". [s. 229-230]

Treść obydwóch pism była jasna:

1) Sytuacja w Poznańskim była groźna.

2) Przed 1 stycznia 1919 r. komendant Piłsudski zwrócił się do N.R.L. z propozycją, aby obrała sobie na głównodowodzącego jednego z dwóch generałów – mnie, lub Michaelisa.

3) Komisariat wybrał mnie i prosił telegraficznie (przed 1 stycznia lub najpóźniej 1-go stycznia) komendanta Piłsudskiego o natychmiastowe moje przybycie.

4) Ponieważ nie przyjeżdżałem (bo nikt mi o wyborze nic nie mówił i nie pisał) więc Komisariat zwrócił się wprost do mnie.

Natomiast nie można było wnioskować z listów, czy komendant Piłsudski od siebie zaproponował mianowanie na głównodowodzącego mnie, lub jen. Michaelisa, czy też Komisarjat prosił kom. Piłsudskiego o rekomendowanie na to stanowisko któregośkolwiek z generałów. Tę drugą wersję potwierdził mi później jeden z komisarzy.

Z listów widać też, że kom. Piłsudski nie śpieszył się z zawiadomieniem mnie o decyzji Komisariatu, choć wypadki w Poznańskim „stają się groźnemi”.

Dnia 7-go stycznia byłem w Belwederze u Piłsudskiego, który powiedział mi słowa mniej więcej następujące: „mianuję Pana komenderującym wojskami w Poznaniu, będzie Pan moją awangardą, w potrzebie podtrzymam. Radzę wziąć jako szefa sztabu mego oficera nadzwyczaj zdolnego podpułk. Juliana Stachiewicza”.

Ponieważ oświadczenie Komendanta nie zupełnie pokrywało się z treścią otrzymanego poprzednio pisma N.R.L., więc odrzekłem, że najprzód pojedę do Poznania, rozejrzę się na miejscu i potem dam odpowiedź, czy się podejmuję misji. Co do szefa sztabu oświadczyłem, że przyzwyczajony jestem wybierać sobie osobiście najbliższych pomocników. P. Stachiewicza nie znam, ale ponieważ Komendant rekomenduje go, przeto przyjrę mu się i nie będę miał nic przeciw zatrzymaniu go przy sobie, jeżeli okaże się odpowiednim.

Z tego powodu, i że pod Lwowem sytuacja była bardzo ciężka, zapytałem Piłsudskiego czym może, jak obiecuje, mnie podtrzymać? Widocznie to moje zapytanie nie bardzo się podobało, po chwili namysłu otrzymałem odpowiedź „znajdzie się”. Zrozumiałem ją: – „nie znajdzie się nic”. Przypuszczenia moje okazało się trafnym, nie tylko nic mi nie przysłało, ale ja sam musiałem dwukrotnie Lwów ratować.

Komendant zażądał, żebym nie ogłaszał, że jadę do Poznania z „jego ramienia”, oraz polecił jechać w cywilnym ubraniu. Dlaczego – nie wyjaśnił.

W jakimś piśmku czytałem o czarującym wzroku Komendanta i rad byłbym to sprawdzić... Niestety, nie patrzył mi w oczy. Ja przyzwyczyłem się w wojsku postępować odwrotnie.

Piłsudskiego widziałem po raz drugi w życiu. Rozmowa nasza była w ogóle krótka i nosiła te same cechy co przy pierwszym widzeniu się naszym 14 listopada 1918 r.

Przemogłem się, nie chcąc utrudniać sytuacji.

Sytuacja w Polsce wówczas była nie do pozazdroszczenia; o czym później pisał sam Piłsudski; wymagała ogólnego wysiłku i szczerości w stosunkach. Tymczasem wyczuwało się jakąś grę polityczną, w której miałem odegrać rolę: jaką? – nie mogłem się zorientować. Istniała niezgodność słów komendanta z oświadczeniem N.R.L. Płk. Stachiewicz już wyjechał do Poznańskiego, czyli był wysłany przedemną. Dlaczego to zrobiono, dlaczego zatrzymano list N.R.L.? Czy chciano mnie postawić na „emploi stupajki”? [s. 230-231].

*

Po wyjściu z Belwederu, kazałem robić na gwałt moje pierwsze cywilne ubranie.

Krawiec nie podjął się zrobienia palta tak prędko, więc pożyczylem je od brata Konstantego. Gdym się w to wszystko ubrał, poczułem się bardzo nieszczególnie; zimno mi było w nogi, przez spodnie z dołu wiatr wiał pod szyję, przedstawiałem wyprost komiczny wygląd.

8 stycznia wsiadłem do pociągu, zabierając ze sobą por. Michalskiego i Widackiego, oraz inżyniera Emila Landsberga. Przyłączyło się jeszcze kilku oficerów nie z Korpusu nawet nie z armii rosyjskiej, ale z austriackiej.

Wieść o tem, że jadę do Poznania, nie wiem jaką drogą przeniknęła do publiczności. Formujący się w Kaliszu 2 pułk ułanów, wystawił wartę honorową.

W Poznaniu na dworcu spotkali mnie komisarze Rady Ludowej: pp. Korfanty i Poszwiński i zakwaterowali w Bazarze. Potem pojechaliśmy do mieszkania komisarza ks. Adamskiego, u którego zebrali się członkowie Komisarjatu. Rozmowa zaczęła się od tego, jak opanować sytuację. Wszędzie bez ogólnego planu, walczyły luźne oddziały ochotników, a stan ogólny nie był do pozazdroszczenia. Oświadczyłem, że wolontariuszów ani organizować, ani niemi dowodzić nie będę, a radzę formować wojsko regularne, chociażby z początku ochotnicze. Komisarjat na to się zgodził.

Przekonałem też o konieczności dokonania poboru młodszych roczników, a wszystkich starszych radziłem zaciągnąć do Straży Ludowej, czyli pospolitego ruszenia. Było to celowe, bo ujmowało w karby rozhukane przez rewolucję tłumy ludności.

Ksiądz Adamski spytał, jak się zapatruję na przysięgę. Odpowiedziałem, że ludzie niezwiązani przysięgą nie są wojskiem; ja właśnie żądam ułożenia roty i zaprzysiężenia szeregów [...].

Najbardziej jasną jest przysięga Wojsk Wielkopolskich. Prócz tego wymogłem, w celu uniknięcia wszelkich nieporozumień, aby każdy oficer, prócz tego, składał specjalne oświadczenie. Było to niezbędnym, bo jak się później wykryło, niektórzy oficerowie, chcąc być w wojsku Wielkopolskiem, wykazali tendencję do słuchania dwóch władz...

Balamucili szeregi panowie politycy.

Na przysięgę zwracałem zawsze wielką uwagę. Tłumaczyłem żołnierzom, że są spadkobiercami rycerzy, dla których dotrzymanie słowa (przysięgi) było czemś waż-

niejszym, niż życie. Bagatelizowanie przysięgi spowoduje zawsze smutne następstwa. [s. 231-232].

*

Podejmując się organizacji wojska oraz dowodzenia nim, brałem na siebie pracę w tym kierunku, z tem jednak, że Komisarjat miał być moją zwierzchnią władzą polityczną [...].

Dowiedziałem się też, kto faktycznie mianował mnie głównodowodzącym wojskami w Poznańskim. Okazało się, że nie kto inny, tylko Komisarjat [...].

Dopiero w sierpniu, po ustabilizowaniu się stosunków z Niemcami, Wielkopolska przeszła pod zupełną kompetencję Nacz. Dowództwa w Warszawie. Od tego czasu biorą początek inne losy wielkopolskich formacyj. Dekret Piłsudskiego z dnia 22.8.1919 r. o mianowaniu mnie dowódcą frontu Wielkopolskiego nie był realny, bo już „frontu” faktycznie nie było. [s. 232-233].

*

Przed moim przyjazdem do Poznania, powstaniem kierował najpierw niejaki porucznik (adwokat) Maciaszek, a później płk. Taczak, od którego przejąłem dowództwo. Istniał też już załazek sztabu, który mieścił się w hotelu „Continental” przy ul. św. Marcina. Zastałem w nim domniemanego szefa sztabu podpłk. Stachewicza. Na pierwszy rzut oka zrobił nieokreślone wrażenie; zdziwiło mnie, że był jakby trochę zastraszone, czy zawstydzony; patrzył nieśmiało, niedowierzająco. Wtajemniczyłem go w rozmowę z Piłsudskim i oświadczyłem, że nie należę do liczby tych generałów, którzy podpisują podsufianym im przez szefa sztabu papierki i słuchają bezapelacyjnie jego rad. Muszę zatem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje i kategorycznie zabraniam wysyłania jakichkolwiek meldunków, względnie wydawania rozporządzeń, bez mojej poprzedniej aprobaty. Zdaje się, że kwestię stosunku do siebie postawiłem jasno [...].

Wyjeżdżając do Poznania, wiedziałem, że brakować tam będzie najbardziej obsługi łącznikowej. Niemcy byli przewidujący i obcoplemieńców dopełnienia obowiązków łączności nie dopuszczali. Wziąłem więc ze sobą nieprzeciętnego fachowca i sumiennego urzędnika telegrafu, kpt. Lipińskiego, który, służąc jeszcze w armii rosyjskiej, oddał polskiej sprawie nieocenione usługi. Poleciałem mu zebrać jaknajwięcej chętnych Poznańczyków i przejść z nimi kurs praktycznego telegrafowania. Już po dwóch tygodniach pan Lipiński zameldował, że ma około 20 kandydatów, którzy od biedy mogliby obsługiwać aparaty Hughes'a. Postawiłem go też na czele łączności sztabu, a ponieważ czasy były niepewne i ludzie chwiejni więc nakazałem nadawać tylko te telegramy, które mają moją adnotację.

Po kilku dniach przysłało mi telegram z podpisem podpłk. Stachewicza, z zapytaniem, czy mogę go nadać. Jednocześnie zameldowano, że to nie jest fakt odosobniony. Telegram zawierał meldunek do Belwederu, o tem co się w Poznańskim dzieje; treść była naogół niewinna, choć jednostronna, ale fakt niesubordynacji ze strony mego najbliższego pomocnika dawał dużo do myślenia.

Jeszcze, będąc w Bobrujsku, słyszałem, że legioniści nie są żołnierzami w ogólnym tego słowa pojęciu, lecz także sprzysiężeniem; brak im fachowości, za to niezbywa na tupecie; niejednokrotnie się o tem przekonałem. Nie dopuszczałem myśli, żeby szef sztabu, tak gorąco polecany, rozmyślnie nie wykonał moich zarządzeń. Wolałbym dowiedzieć się, że tak postępując, podpłk. Stachewicz spełniał rozkaz „swoich” decydujących władz. Jeżeli istotnie miał taki rozkaz, jego obowiązkiem było mnie o nim zameldować. Wojsko nie może być oparte na podstawach konspiracyjnych, bo nie jest

partią polityczno-wywrotową, która się musi kryć. Podpłk. Stachiewicz zapewne otrzymał instrukcje donoszenia o wszystkim, co się koło mnie działo i bez mojej wiadomości o tem meldował. Takich praktyk, zapożyczonych w sprzysiężeniach lub w kiepskim wywiadzie, nie licujących z pojęciem o wojsku, jako o instytucji opartej na wzajemnym zaufaniu, tolerować nie mogłem.

Podpłk. Stachiewiczowi udzieliłem odpowiedniego pouczenia.

Zaledwie w parę dni po tym incydencie zjawił się u mnie komisarz Korfanty z oświadczeniem, że nie mam należytego nadzoru nad swoim szefem sztabu, który wbrew zakazowi, skupuje skóry i wysyła je do Warszawy. Zapytany o to, podpłk. Stachiewicz zaprzeczył, mimo, że komisarz posiadał meldunki organów policyjnych [...].

Wkrótce organy śledcze zameldowały mi, że jakieś indywidua, przeważnie semickiego typu, chcą przedostać się do Berlina, powołując się na pozwolenie 2-go oddziału sztabu w Warszawie, oraz na podkapitana Ignacego Matuszewskiego. Jeżeli potrzeba było kogoś tam posłać, to istniała droga prosta – zwrócić się do mnie. Takie zaś postępowanie było dowodem, że chciano coś zrobić poza plecami władz poznańskich.

Prawie jednocześnie trafił do mych rąk raport jakiegoś legionisty, czy Peowiaka, Poznańczyka p. Hulewicza Jerzego. Jakie stanowisko zajmował i czy faktycznie był w Wojskach Wielkopolskich, obecnie przypomnieć sobie nie mogą. Z treści tego raportu wynika, że p. Matuszewski, pracując w drugim oddziale sztabu jeneralnego, czynił jakieś tajemnicze posunięcia poza plecami Komisarjatu. Wynika też z tego, że mój szef sztabu był w to wtajemniczony [...].

Najbardziej oburzające było zapytanie: „proszę usilnie o krótkie określenie stosunku przybyłego do Poznania Dowbor-Muśnickiego do Komendanta, a to dla niezbędnej informacji”. Jakie prawo miał pionek interesować się tą kwestją? Czy nie jest to dowód chęci przeciwdziałania mnie? Przecież, jak widać z wyżej podanego przebiegu faktu, w назначeniu mnie do Poznania, komendant Piłsudski nie odegrał decydującej, a raczej, że tak powiem, przyzwrotnościową rolę. Istniał więc kontakt między drugim oddziałem, a zorganizowanym jakimś związkiem na terenie Poznańskiego. P. Hulewicz Jerzy był tu jedynie wykonawcą wskazówek. [s. 233-235].

*

Takiego rodzaju fakty wymagały ode mnie, abym miał się na baczności, no i do szczyrych stosunków nie usposabiały.

Po incydencie ze skórami, podpłk. Stachiewicz poprosił o dymisję. Tłumaczyłem, że to nie jest wyjście z sytuacji, że jego rekomendował Piłsudski, z którym dla wspólnego celu pragnę współpracować, ale z dróg prostych i jasnych nie zejść. Radzę dymisję cofnąć. Podpłk. Stachiewicz zgodził się i pracowaliśmy nadal, ale bardzo krótko, bo ostatecznie oficer ten z Poznańskiego wycofał się. Wydałem o nim pobłażliwą opinię, z której zdaje się nie skorzystano. Droga ściśle fachowo-wojskową nie poszedł. [s. 235].

*

Na podstawie zestawienia: rozmowy mojej z Piłsudskim w Belwederze przed wyjazdem do Poznania, listu komisarza Korfantego, oraz pisma Komisarjatu N.R.L. wiadać, że istniały jakieś rozbieżne poglądy na politykę. Na czym one polegały, nie wiem; nikt mnie z osób miarodajnych w to nie wtajemniczał. Do pewnego stopnia wyjaśnia tę sprawę orędzie Komisarjatu do Naczelnika Państwa, które jednak w treści swej nie pokrywa się z oświadczeniem Piłsudskiego: „mianuję pana” i „nie mów, że jedziesz w moim imieniu” (patrz wyżej).

Dobrze znam charakterystyczną cechę ludzi cywilnych. Obawiają się, aby wojskowi nie politykowali, a nie chcą zrozumieć, że każde czyste wojskowe zamierzenie musi być oparte o polityczny pierwiastek. Sami tą polityką zajmować się lubią. Komisarjat też popełnił zasadniczy błąd; że nie wtajemniczył mnie szczegółowo w swoje posunięcia polityczne. Wszak członkowie jego byli świadkami harmonijnego współdziałania Bismarcka (polityka i cywila) z jen. Moltke (tylko wojskowym).

Rozbieżność między poglądami Komisarjatu i Piłsudskiego może opierała się na tem, że pierwszy składał się z ludzi nie przychylnych do socjalizmu, gdy tymczasem Piłsudski wyszedł z tego środowiska. Musiały jednak istnieć prócz tego, jakieś głębsze i to nie wynikające z Komisarjatu, różnice. Boć przecież Poznańskie dążyło do współpracy, co dowiodło zwróceniem się Komisarjatu do Piłsudskiego z prośbą o wskazanie człowieka odpowiedniego, któryby stanął na czele Powstania Wielkopolskiego, pomijając to, że socjaliści już w pierwszych dniach Odrodzonej Polski zajęli stanowisko godne potępienia. (Mam na myśli odezwę lubelską, czerwoną płachtę na zamku królewskim w Warszawie milicję ludową itp. [s. 235-236].

*

Spisałem z Komisarjatem N.R.L. następującą, że tak powiem, umowę:
„Komisarjat N.R.L. Aleje 1. Skrzynka pocztowa Nr. 337. Poznań 11 stycznia 1919 r. Protokół.

1) Z ramienia Komisarjatu N.R.L. przyjmuje wojskowe Naczelne Dowództwo jenerał – porucznik Józef Dowbor-Muśnicki.

2) Uznając w zasadzie jedność wojska polskiego, zastrzega sobie Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej, ze względów międzynarodowo-politycznych, tymczasową odrębność i niepodległość sił zbrojnych w byłej dzielnicy pruskiej.

3) Mianowanie oficerów i urzędników wymaga potwierdzenia Naczelnej Rady Ludowej.

4) Rotę przysięgi Wojska przedstawi Naczelny Dowódca Komisarjatu do aprobaty.

5) Decernenta dla spraw wojskowych i bezpieczeństwa publicznego mianuje Komisarjat. Kompetencja decernenta podlega osobnemu porozumieniu między Komisarjatem, a Naczelnym Dowódcą.

6) Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej: Adam Poszwiński, Wojciech Korfanty, Dowbor-Muśnicki Generał-Porucznik”.

Dnia 12 stycznia 1919 r. wróciłem do Warszawy i chciałem się zaraz zameldować Piłsudskiemu, który przyjął mnie dopiero 14 stycznia. [s. 236]

*

Ustaliłem przede wszystkim plan działania. Ponieważ w każdym mieście, miasteczku, a nawet i po wsiach potworzyły się samorzutne powstańcze oddziały (plutony i kompanje w zależności od tego, ile było broni na miejscu) i siły te nie były związane hierarchicznie, a każda grupa chciała bezpośrednio podlegać N.R.L. i ponieważ część powstańców walczyła na granicach „prowincji” z Niemcami, podczas gdy niektórzy nie chcieli ruszać na front – przeto ustaliłem, że należy, nie przerywając akcji przeciw Niemcom, wszystkich związać w prowizoryczne organizacje wojskowe (fronty: północy – pod płk. Grudzielskim, zachodni pod ppłk. Milewskim i południowy w dwóch grupach Ostrowskiej i Gostyńskiej); zebrać pozatem tyle ludzi, aby jak najprędzej sformować, jako rezerwę, pułk strzelców, baterję i pułk ułanów; potem związywać stopniowo pozostałych w stałą organizację wojskową (5-ć dywizyj).

Okoliczności do pracy nagliły, bo zaczęły się wystąpienia poszczególnych dowódców powstańczych na własną rękę, co nie tylko nie pomagało w sprawie utrzymania w naszych rękach Poznańskiego, ale wręcz szkodziło jego obronie. Jak wtedy sprawy stały, widać z listu pisanego do mnie przez starostę krajowego [...].

Konie i żywność chętnie dawało ziemiaństwo; broń ręczną znalazłem w arsenałach Poznania, względnie odebraliśmy ją podczas walk; o nabojach i pociskach powiem niżej. Brak jedynie było oficerów.

Z 1-go Polskiego Korpusu mogłem ściągnąć tylko 180, inni już weszli w skład oddziałów formowanych w Kongresówce, Galicji i na Białorusi. Z legjonów i armji austriackiej na mój zew przybyło kilkunastu oficerów [...].

Potrzebowałem conajmniej 800 oficerów. Zaproponowałem przeto N.R.L., aby się zgodziła na awansowanie podoficerów z byłej armji pruskiej na podporuczników, z warunkiem zdania przez nich egzaminu z języka polskiego i taktyki. Zgodę otrzymałem i to dało mi jeszcze kilkudziesięciu oficerów.

Tego jednak było jeszcze mało. Wtedy otworzyłem szkołę oficerską ze skróconym kursem, na czele której postawiłem dzielnego kapitana Jatelnickiego [...].

Szkoła oficerska w Poznaniu jest moją dumą, bo nie znalazł się w niej ani jeden absolwent, któryby się źle spisał. Porządek był tam wzorowy. Uczniowie zrozumieli cel i posłannictwo szkoły, uczyli się więc starannie. [s. 237-238]

*

Armja Wielkopolska była stworzona w rekordowym czasie, co wywołało niekłamany podziw u cudzoziemców (tych ze wschodu i zachodu), ale, niestety, znalazła uznanie tylko u niewielu ziomków [...].

Właśnie płk. Konarzewski potrafił w krótkim czasie doszkolić żołnierzy i scementował ich w świetną jednostkę bojową. Pierwszy pułk strzelców Wielkopolskich, któremu przypadł zaszczytny udział rozstrzygającego wystąpienia obrony Lwowa, był jednym z najpewniejszych pułków Wojska Wielkopolskiego i wogóle Polskiego.

Doskonale też były zorganizowane i inne pułki pierwszej dywizji, co potwierdziło się na polach walk o ostateczne wywalczenie wolności Polski (bitwa pod Warszawą w roku 1920). Po pierwszej dywizji, były sformowane tymże systemem druga i trzecia, odpowiednio pod pułkownikiem Albinem Jasińskim i jen. Odyńcem. [s. 239]

*

Ponieważ Pajewski i Anders są Krechowieckimi ułanami, wynika, że Krechowiacy przeleci swoje świetne tradycje na ułanów Wielkopolskich. [s. 240]

*

W tym czasie często się zdarzały krytyczne momenty, kiedy walczyliśmy na froncie długości pięciuset klm. Niemcy napierali na ten „sznureczek” i, żeby się utrzymać trzeba było stosować desperackie kontr-ataki w trzech najgłówniejszych kierunkach: na północy, na odcinku Żnin-Kcynia, najbardziej zagrożonym; gdzie Niemcy dążyli oczywiście do odepchnięcia nas od linii kolejowej Toruń-Nakło-Piła; potem na południe, w okolicach Odolanowa, skąd prowadziła droga na Ostrów, z utratą którego byłaby przerwana linja kolejowa Poznań-Warszawa; w końcu na odcinku koło Leszna. W ostatnich dniach stycznia kazałem we wszystkich trzech kierunkach przejść do kontr-ataku.

Na północy działał płk. Grudzielski. Posiadając liczną artylerję, Niemcy z furją uderzyli na Kcynię i Żnin i odrzucili nasze powstańcze oddziały. Wszystko, co było pod ręką, pchnąłem na pomoc. Niestety nie rozporządzałem jeszcze wtedy pułkami, a na-

wet bataljonami; wysyłało się naprędce sklecone kompanje najwyżej po 150 ludzi. Jednej z nich udało się wyjść przez przerwę w linii na tyły wojsk niemieckich i to tak pomyślnie, że kompanja trafiła na baterję. Niemcy, widząc idących na bagnety powstańców, w popłochu pouciekali, zostawiając na pozycji przeszło 40 armat. Epizod ten przechylił walkę na naszą stronę; Niemcy odeszli za Noteć.

Jak to zawsze bywa przy przypadkowych walkach, zapomina się kto działał, bo już na drugi dzień, czasem i za parę godzin, rozgrywają się nowe epizody i nowe bohaterские czyny. Tak się też stało i w danym wypadku. Kto dowodził temi zuchami, kto i skąd był w szeregach kompanji, teraz tego rozwikłać nie mogę. W każdym razie chwala tej akcji przypadła jenerałowi Grudzielskiemu. Może czasem uda się w szczegółach odtworzyć tę bitwę, która stała punktem zwrotnym w walce na froncie północnym Wielkopolski [...].

Te szczęśliwie zdobyte działa dały możność zorganizowania wielkopolskiej artylerji. Zrobił to w piorunującym tempie płk. (obecnie jenerał) Anatol Kędziński. Uprząż artyleryjską znaleźliśmy w składach w Poznaniu, a brakujące w szybkim czasie zrobili rymarze poznańscy [...].

Płk. Kędziński, będąc sam doskonałym artylerzystą, wyjątkowo dobrze wywiązał się z zadania. Artylerja Wielkopolska dała się dobrze we znaki i Niemcom i Bolszewikom. Jak powiedziałem, armaty zdobyli piechurzy na Niemcach; przez to zadzierżnęła się braterska łączność między piechotą a artylerją. Klócili się, jeżeli z konieczności natury wojskowej pułki otrzymywały nie tę baterję, którą uważały za swoją. To nie tylko nie przeczyło dyscyplinie, ale było dowodem spoistości wojska.

Lotnictwo zaczął organizować podporucznik Mańczak, wybitny oficer armji niemieckiej. Niestety był to bodaj jedyny oficer – lotnik Polak z zaboru pruskiego. Podołać wszystkiemu nie mógł, tj. jednocześnie organizować i być instruktorem. Dlatego zaangażowałem znanego w Rosji i Polsce lotnika Habera-Włyńskiego. Oni to, a potem lotnik z Korpusu, Grochowolski, w bardzo krótkim czasie wyszkolili dostateczną ilość lotników Poznańczyków dla zorganizowania 7 eskadr [...].

Wielkopolskich saperów zorganizował kpt. Butler, a telegrafistów płk. hr. Miączyński, obaj pochodzili z 1-go Polskiego Korpusu. [s. 240-242]

*

Za ubiór głowy obrałem rogatywkę, a nie maciejówkę, bo ta ostatnia nie ma w sobie żadnej polskiej cechy. [...] W ciągu paru tygodni umundurowano 50 tysięcy ludzi. Stało się to tylko dzięki poczuciu patriotyzmu rzemieślników. Pracowali dzień i noc i za to należy się: Cześć Im!

Kilkanaście tysięcy potrzebnych koni zdobyłem na miejscu. Część podarowali obywatela ziemscy; np. hr. Szotdrski z Żydowa dał 40 wierzchowców. Brakujące konie zakupił Komisarjat, a wybrał miejscowy obywatel p. Szlagowski wspólnie z płk. Zygmuntem Studzińskim.

Łatwe zaopatrzenie wojska w konie było dla mnie niespodzianką, boć przecież dla 3-ch pułków jazdy, trzeba było 2 i pół tysiąca wierzchowców, a dla artylerji około 4-ch tysięcy koni pociagowych. Nie biorę pod uwagę taborów, służby zdrowia etc. Twierdzono ogólnie, że Niemcy wyniszczyli doszczętnie swoje prowincje, a tymczasem znalazła się na miejscu potrzebna ilość koni. Mało tego. Dla wojska organizowanego przez Warszawę wzięto paręset koni [...].

Ekspedując pułki ułańskie na wojnę, oświadczyłem, że usunę dowódców, jeżeli będą zgadzać się na odkomenderowanie pojedynczych żołnierzy do służby ordynansowej. Podpułkownik Anders, jako oficer z charakterem, przeprowadził to polecenie

dokładnie; dlatego też pierwszy pułk ułanów Wielkopolskich zdobył sobie rozgłos. Stanowił jedną rodzinę, wszyscy znali się, jeden za drugiego stawał murem [...].

Komisariat zaraz ze mną pojechał do Warszawy, uroczyście przekazując Naczelnikowi Państwa, to, co ma najdroższego, tj. swoje wojsko. Jednocześnie złożyłem na ręce komendanta Piłsudskiego 6.VIII.1919 r. memorjał, z prośbą o uwzględnienie osobliwości Armji Wielkopolskiej. [s. 242-244]

*

Nie tolerowałem szowinistycznych wybryków ludności niemieckiej. Zdarzył się np. taki wypadek. Wtedy, kiedy krwawiliśmy się na froncie, w niektórych miejscowościach na tyłach, mordowano naszych oficerów i żołnierzy. Trzeba było położyć temu kres. Komisariat N.R.L. na moją interwencję wydał dekret o złożeniu przez wszystkich broni, uprzedzając, że jeżeli potem u kogokolwiek ją się znajdzie, to winni podlegać będą sądowi doraźnemu, tj. krótko mówiąc, będą ukarani śmiercią.

Wkrótce potem zabito dwóch żołnierzy. Nacisnąłem na wywiad. Szefowi policji ś.p. Krzyżankiewiczowi udało się wykryć skład broni: była właśnie przechowywana u jakiegoś kolonisty, zamieszkałego nieopodal miejsca zbrodni. Aresztowano 7 czy 9 Niemców. Sąd wydał wyrok skazujący. Kazałem go niezwłocznie wykonać ku wielkiemu przerażeniu samego dr. Krzyżankiewicza, który na kolanach prosił o ułaskawienie, względnie złagodzenie kary. Z mojej stanowczości był też szczególnie niezadowolony komisarz Poszwiński.

Stale dziwiła mnie u ziomków czułość w stosunku do obcych i gotowość do ofiar z naszej strony na ich korzyść.

Nieco wcześniej zdarzył się inny wypadek. Kilku Polaków, w tej liczbie młodzieńców, któremu do pełnoletności sądowej brakowało tylko 2 tygodnie, popełnili ohydny zbrodnię na rodzinie polskiej (morderstwo i gwałt na kobiecie i dziecku). Policja zbrodniarzy złapała; sąd skazał wszystkich na karę śmierci. Wyrok zapadł po osiągnięciu pełnoletności przez wspomnianego młodzieńca i był (29 marca 1919 r.) niezwłocznie wykonany [...].

Po straceniu pojmanych kolonistów w dniu 3.VI.1919 r., zgłosiły się do mnie z oświadczeniem lojalności niemieckie delegacje: pierwsza 30.VI.19 r. z pastorem, druga 1.VII.19 r., wreszcie trzecia 5.VII.19 r., które złożyły na moje ręce zapewnienia zupełnej lojalności ludności niemieckiej w stosunku do władz polskich.

Nie bardzo wierzyłem w szczerłość oświadczeń, ale czegoż mogłem się więcej w ówczesnych warunkach spodziewać? [s. 245-246]

*

W swoich przemówieniach do żołnierzy, zwracałem stałe uwagę na to, że Polska jest krajem biednym, dopiero odradzającym się, więc swoich żołnierzy utrzymywać luksusowo, lub płacić im wysokiego żołdu nie jest w stanie. Objaśniałem, że niema takich skarbów, które byłyby równowartością życia ludzkiego. Dlatego też żołnierz powinien być świadomym, że swoją krew oddaje za najwyższe dobro, za wolność i to nie tylko swoją, osobistą, ale i przyszłych pokoleń. Stanowczo zakazałem uprawiania polityki i byłem w tem konsekwentny [...].

Jednocześnie zabroniłem krzywdzić ludność obcą, zamieszkującą państwo Polskie. Wszelkie próby z zewnątrz szeregów, skierowane ku deprawacji, ponizaniu poczucia narodowego, obaleniu dyscypliny, względnie zaszczepieniu zasad nauki Marksa, rozkazałem jak najenergiczniej tępić. To moje zarządzenie było wywołane tem, że komuś się nie podobało moje postanowienie o organizacji regularnego wojska, gdy Komisarz

jat N.R.L. najzupełniej się z moimi poglądami zgadzał i chętnie pomagał we wszystkim, co dożyło do utrzymania dyscypliny [...].

Idea stworzenia armii ochotniczej względnie bliskiej jej milicji, pokutowała w głowach pp. socjalistów. Dopiero po ukończeniu formowania Armji Wielkopolskiej i po uratowaniu przez nią Lwowa, przeforsowano w Sejmie, że wojsko polskie winno być stworzone na podstawie przymusowej służby w szeregach.

Wspominałem tu o Lwowie. Lwowianie bronili się jak mogli, i przyznam, że bronili się lepiej i dłużej, niż można było się tego spodziewać. Ukraińcy zwyciężyliby ich niechybnie, bo ilością i uzbrojeniem przewyższali. Zjawienie się pod Lwowem oddziału płk. Konarzewskiego, składającego się z trzech bataljonów strzelców, 16 dział i eskadry lotniczej, kardynalnie zmieniło sytuację. Jedno uderzenie tej niewielkiej grupy decydująco odepchnęło Ukraińców. [s. 247]

Rozdział XXV **(fragmenty)**

Gdańsk – Lwów

Z wiadomości otrzymywanych z Paryża w styczniu 1919 r., wynikało, że jakoś ciężko idzie z kwestją przyznania nam ujścia Wisły. A gdyby tak „pomóc” rozstrzygnięciu i przez zajęcie Gdańska stworzyć fakt dokonany?

Na takie przedsięwzięcie wystarczyłoby wtedy dywizja, bo w akcji tej pomogłaby ludność Pomorza; z niej można było zorganizować nawet armję [...].

Już w roku 1917 państwa wojujące miały wojny dość. O tyle się ona wszystkim uprzykrzyła, że w roku 1918 politycy sprzeciwili się zamiarowi Focha, żeby dobić Niemców na ich terenach. Gdybyśmy więc zajęli Gdańsk przed ostatecznym zawarciem traktatu wersalskiego, mało było szans na to, żeby nas stamtąd miał ktoś ochotę wyrzucić. Można było też uzyskać poparcie niektórych państw aljanckich, bo przecież ofiarowany nam kawałek pustego wybrzeża był tylko namiastką dostępu do morza” [...].

Kwestja Gdańska wymagała odwagi decyzji politycznej. Miałem wrażenie, że po proklamowaniu odrodzenia Polski wszyscy dążyli do zaspokojenia swoich osobistych ambicji, lub do jak najszybszego załatwienia spraw lokalnych, zaś o ogólno-polskich interesach szerzej nikt nie myślał.

Z punktu widzenia wojskowego, zajęcie Gdańska było rzeczą nietrudną. Niemcy armji na froncie polskim nie mieli; istniały tylko bandy rozmaitych „szutzów”, a te wojska, które cofały się z Rosji, były zdemoralizowane i pokonanie ich nie sprawiło-by trudności. Ilustruje to dobrze mój późniejszy telegram o sytuacji na Pomorzu.

Zajęcie Pomorza stanowiłoby pierwszy etap do objęcia Gdańska. Należało więc przygotować ludność do ewentualnego orężnego wystąpienia. Toteż zaraz po przybyciu do Poznania nawiązałem stosunki, w celu ściągnięcia z Pomorza materiału ludzkiego do sformowania dywizji, lub choćby tylko kadr kilku pułków. Dużą pomocą w tem okazał mi podporucznik Majewski – Pomorzanin. [s. 249-250]

*

W końcu stycznia 1919 r. przystąpiłem do opracowania planu zajęcia Gdańska. Pracowałem nad tym osobiście, ponieważ nie wierzę w zdolności ziomków do zachowania tajemnicy [...].

Pod różnemi pozorami, przynaglałem zakończenie formowania 1-go i 2-go pułków strzelców, oraz dwóch pułków garnizonowych, późniejszych 7-go i 10-go Wielkopolskich. Okoliczności sprzyjały; na początku lutego zdobyliśmy na Niemcach armaty, co znacznie ułatwiało zamierzenia. Członków Komisarjatu w swoje plany także narazie nie wtajemniczałem, bo na coś śmielszego mógłby się zdecydować jedynie Korfanty; ten zaś był zaprzątnięty myślą o Śląsku i, jak wyczuwałem, chętnie poświęciłby Gdańsk za Śląsk. Może ze swego punktu widzenia miał rację [...].

W Warszawie silnie agitowano za pomocą dla Lwowa i stamtąd poszły jeden czy dwa bataljony młodzieży akademickiej. Była to ilość niedostateczna, bo przeciw bandom ukraińskim występowały luźne oddziały, niezdyscyplinowane, niezorganizowane, nie wyćwiczone i hierarchicznie nie związane. Te braki zastąpić miało poczucie patriotyzmu, co przecież na długą metę wystarczyć nie mogło [...]. Trudno też obecnie zdecydować, kto najmocniej zaważył na jego uratowaniu, bo wszyscy sobie to przypisują. Sądząc z posiadanych dokumentów, twierdzą, że największe zasługi przy odzyskaniu Lwowa położyły Wojska Wielkopolskie [...].

Nie przeceniałem wartości band ukraińskich, które nie były zdolne oprzeć się nawet niewielkiemu regularnemu oddziałowi; te zaś dawno należało zacząć formować w Galicji. Ostatecznie zgodziłem się wysłać jedną regularną kompanję, pod podporucznikami, o ile pamiętam, Ciaciuchem i Kałamajskim. Kompanja szybko została wyekspedjowana, z rozkazem, żeby oświadczyła mieszkańcom Lwowa, iż jest pierwszą jaskółką, niosącą wolność. Miałem na widoku wysłanie pułku do Lwowa, ale nie z tych, które przeznaczyłem dla wypadu na Gdańsk. Moje postępowanie było uzasadnione. [s. 250-251]

*

W początku marca przyjechał do Poznania Ignacy Paderewski z prośbą o pomoc dla Lwowa. Komisarjat nie mógł nic sam zdecydować i 8 marca 1919 r. zwołał na Zamku konferencję złożoną z pp. Komisarzy: Korfantego, ks. Adamskiego i Poszwińskiego oraz Paderewskiego, hr. Skarbka i mnie; zdaje mi się, że więcej nikogo nie było.

Paderewski prosił o wysłanie bataljonu, bo „inaczej Lwów zginie”. Niestety ten, ze wszechmiar godny uwielbienia Polak, nie zdawał sobie widocznie sprawy z tego, jakie możliwości posiada bataljon, który byłby tylko, „słabym zastrzykiem” i prolongowałby opór na parę dni, a może godzin, gdy do rozstrzygnięcia obrony Lwowa należało posłać głównie artylerję i aeroplany.

Komisarze się wahali: z jednej strony trudno odmówić tak zasłużonemu człowiekowi, ale z drugiej, nie byli oni pewni sytuacji w Poznańskim. Zasięgnięto mego zdania. Oświadczyłem, że na razie nie może być mowy o wysłaniu (prócz wspomianej kompanji) czegokolwiek, ponieważ Grentzschutz się reorganizuje, na jego czele stanął dobrze znany generał Hoffman i Niemcy zamierzają uderzyć w najbliższym czasie na Zbąszyń, więc trzeba być gotowym do odparcia uderzenia.

Było to wszystko prawdą, co też Komisarjat potwierdził. Paderewski jednak nalegał, twierdząc, że Aljanci nie pozwolą Niemcom na zaczepne działanie i, że nawet Gdańsk ma być nam przyznany. Po tem oświadczeniu, Komisarze zdecydowali się prośbę Paderewskiego uwzględnić. Ostateczną decyzję uzależniono ode mnie.

W obietnice, co do Gdańska nie wierzyłem, bo dobrowolne oddanie go nam znaczyło nietylko odrodzenie Polski, ale wskrzeszenie potężnej Polski, co było śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Niemiec. Nie odkrywając swych projektów, które, oczywiście, nie znalazłyby poparcia, wobec obietnicy przyznania nam Gdańska, oświadczy-

tem, że, o ile będzie ze mnie zdjęta odpowiedzialność za ewentualne wypadki w Poznańskim, rozkaz swej władzy politycznej wykonać muszę.

Stanęło ostatecznie na tem, że pod Lwów ma być wysłany bataljon! Gdybym tę uchwałę przyjął do wykonania á la lettre, Lwów nie byłby uratowany, a zamiary co do Gdańska też nie zostałyby urzeczywistnione. Zdecydowałem więc sprawy nie partaczyć, Paderewskiemu pomóc, a z projektów gdańskich mimo swej woli zrezygnować, wobec oświadczenia Paderewskiego. Oświadczyłem, że pod Lwów poślę pułk, t.j. trzy bataljony z silną artylerją, oraz eskadrą samolotów. Moje oświadczenie wywołało entuzjazm zebranych i szczerze, czy nie szczere podziękowania. Przypuszczałem, że mój oddział zasadniczo zmieni sytuację pod Lwowem i da możliwość opamiętania się i umiejętnego oraz energiczniejszego przystąpienia do organizacji sił z miejscowej ludności [...].

Wysłanie wojsk pod Lwów, pomimo obalenia projektu, co do Gdańska, było wielką ofiarą ze strony Wielkopolski [...].

Liczyłem się z tem, że będę miał ciężkie zadanie, nietylko przy objęciu terytorjów, odstąpionych na mocy traktatu, ale nawet wrazie wkroczenia do Poznańskiego ochotniczych band niemieckich. Każdy, oddawany bataljon, utrudniał moją sytuację. Powtarzam więc, że w owym czasie osłabienie sił Poznańskich było rzeczą ryzykowną i z tego powodu wielką ofiarą. Przecież trzeba wziąć pod uwagę, że wojska Wielkopolskie były w stadium formowania, że z powstańców trzeba było sklecić coś stałego, a nie jakichś wolontarzy i wreszcie, że pod Lwów należało wysłać najlepiej zorganizowane oddziały.

Wysyłając wojsko do Galicji, nie mogłem przecież wysłać ich z gołemi rękami, i nie przedsięwziąć środków zaradczych, aby zabezpieczyć bezwzględne zwycięstwo. Dlatego też, wyznaczwszy tylko około dwóch i pół tysiąca piechoty, dałem jej szesnaście dział i eskadrę lotniczą, żeby wojska te miały możliwość być zawsze „au courant” tego, co się wokół nich dzieje. Kawalerji wysłać nie mogłem, bo gotowa nie była jeszcze; zastąpić ją miały aeroplany [...].

Pod Lwów posłałem pułkownika (później generała) Konarzewskiego, w składzie I-go Wielkopolskiego pułku strzelców, trzech połowych i jednej ciężkiej baterji, oraz eskadrę lotniczą, z siedmiu aparatów złożoną [...].

Moje wskazówki zostały jednak zastosowane i jednym uderzeniem, choć prowadzone na szerokim froncie, Ukraińcy zostali wyrzuceni.

Lwów był wolny, ale kosztem Gdańska. [s. 251-254]

*

Kadry Pomorskiej dywizji Polsce się przydały. Że jedna więcej dywizja znalazła się w roku 1920 pod Warszawą, jest moją i porucznika Majewskiego zasługą. Ocenili to i szeregi, bo pierwszy jej pułk ofiarował mi swój mundur. Ocenił to też jen. Haller, mając tę satysfakcję, że obejmował Pomorze na czele Krechowickich ułanów i Pomorskiej dywizji, do stworzenia których niczem się nie przyczynił, gdy jego armia była „rozsegregowana” po całym froncie. Był to skutek... przewidującej polityki. [s. 255]

Rozdział XXVI (fragmenty)

Wśród Wielkopolan

Nie zrobiłbym w Wielkopolsce połowy tego, co nazwano „doborowem wojskiem”, gdyby nie pomoc społeczeństwa, oraz (w pewnym zakresie i do pewnego czasu) lokalnych władz.

Wielkopolska dokonała w roku 1919-20 nie tuzinkowego czynu. Przy niespełna 1,5 miliona ludności polskiej obojga płci, wzięto do szeregów czynnych, regularnych, wszystkie młode roczniki (od 18-tu do 28-u lat), a do Straży Ludowej wszystkich zdolnych do noszenia broni (w wieku od 29 do 42 lat). Przy warsztatach pracy pozostali tylko ludzie starsi i ułomni; na nich spadł obowiązek utrzymania zmobilizowanych, około 300 tysięcy żołnierzy, t.j. na każdego żołnierza pracowały cztery osoby, włączając w to kobiety i dzieci. Wielkopolska pomimo to długo braków nie odczuwała, ani w żywności ani w wyrobach rękodzielniczych. Była to konsekwencja uświadczenia, ofiarności i nadzwyczajnego patriotyzmu. Wojsko same, które w przekonaniu ogółu jest tylko „konsumentem”, nie dało się wyprzedzić ludności cywilnej: złożyło na potrzeby Śląska i mieszkańców Ziemi Wschodnich setki tysięcy [...].

Dla przedstawicieli innych dzielnic Wielkopolanie wydają się zarozumiali i nawet śmieszni. Mówią źle po polsku, zatracają z niemiecka, a jednak nikt im zarzucić nie śmie ani braku zdrowego rozsądku, ani braku patriotyzmu i zrozumienia, że wolność jest największą zdobyczą narodu [...].

Patriotyzm i ofiarność Wielkopolski wszystkim imponowała i tak była niepospolitą, że rodacy z innych dzielnic doszli do przekonania, iż Poznańskie ma niewyczerpane środki i że stamtąd można czerpać ile dusza zapagnie; w celu uzupełnienia braków, przyjeżdżali do Poznania i byli niezadowoleni, albo nawet oburzali się, gdy ich prośbom zadość nie czyniono. [s. 256]

*

Mógłbym osiągnąć w Poznańskim więcej, niż zrobiłem, gdyby „Warszawa” choć trochę nam pomagała. Działo się jednak wręcz przeciwnie. Np. trzymano tam moich doświadczonych starszych oficerów na podrzędnych stanowiskach i, pomimo moich próśb i nalegań, nie odsyłano ich do mnie [...].

Nie mało było też intryg, by poprostu rozbić wielkopolskie formacje, lub zachwiać ich spistość. Brały w tem też udział i miejscowe głupty. Gdy sława o Wojskach Wielkopolskich rozeszła się, wszyscy pragnęli je mieć pod swoją wodzą [...].

O dowódcach pochodzących z I-go Polskiego Korpusu, rozsiewano przeróżne plotki. Dobrze to ilustruje korespondencja, oraz raporty o sytuacji pod Lwowem.

Wreszcie starano się wyrządzić niesprawiedliwość oficerom z I-go Polskiego Korpusu przy przeprowadzaniu t.zw. ustawy o weryfikacji [...].

Słowem Wojsko Wielkopolskie traktowane było po macoszemu, a jednak żadnej poważniejszej operacji bez udziału jego przeprowadzić nie umiano. [s. 257-258]

*

Postanowiłem sobie za zadanie pracować w tej atmosferze, do której przyzwyczaili się Poznańczycy, a oni pracować umieli, nauczeni przez Niemców. Byłem przekonany, że na polu walk nietylko zrobią to, co im rozkażę, ale, że zrobią to dobrze. Nie omyliłem się [...].

Historja podaje przykłady, że z dobrem wojskiem bitwy łatwo wygrywali przeciętni generałowie, ze złem mogli to zrobić tylko dobrzy wodzowie. Jeżeli powiedzenie Piłsudskiego było aluzją do mnie, to oświadczam, że jestem dobrym generałem, bo wygrałem nie jedną bitwę, prowadząc dobre wojska (jakiemi były np. rosyjskie w roku 1914) i słabe, jakiemi one były w czasie rewolucji. Walki I-go Polskiego Korpusu z bolszewikami dają też dodatnie świadectwo. Oczywiście nie sięgam po sławę wielkich wodzów; rodzą się tacy rzadziej niż raz na stulecie – w Polsce w wieku bieżącym jeszcze się taki nie zjawił! Daj Boże, być choćby takim generałem, jak np. marszałek Davoust. [s. 258]

*

Próbowano, też *via* Warszawa, robić zaburzenia w szeregach. Np. 16.7.19 r., wybuchł bunt w Biedrusku. Choć był prędko opanowany, a prowodyrzy zwiali, trafiło pod sąd kilku miejscowych głupców. Bunt był bardzo podobny do urządzanego 21.5.18 w Bobrujsku.

Przyczyny i przebieg buntu były następujące: nie podobało się niektórym czynnikom, że organizuję armję regularną, a nie „bractwa”; że szeregi zapełniam żołnierzami, a nie „obywatelami” lub „serwusami”; że dyscyplina w wojsku panować musi i winna ona polegać na spełnianiu prawa, posłuchu i ładzie; że chce mieć nad sobą jedną prawowitą władzę, a nie oglądać się na autorytety przygodnych ludzi i im się wystugiwać. Postanowiono przeto mnie usunąć. Obrano drogę konspiracji, jątżenia szeregów z powodu drobnych i nieuniknionych w każdej armji niedociągnięć. Była to robota, którą można bez przesady nazwać „zdradą”; zwracałem na nią uwagę ministra wojny (był nim jen. Leśniewski). [s. 259]

Reasumując, generał broni Józef Dowbor-Muśnicki w swojej obszernej książce pt. „Wspomnienia” (Poznań 1935 r.) opisując szlak bojowy na wielu frontach i udział w walkach dowodzonych przez niego pułków, dywizji, korpusów i Powstańców Wielkopolskich – wzbogaca swoje relacje kilkudziesięcioma dokumentami, w tym zdjęciami, rozkazami, raportami i listami, np. od Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego przywódcy Powstania Wielkopolskiego i Śląskiego Wojciecha Korfantego, generała broni Józefa Hallera i innych.

Z tych dokumentów wyraźnie wynika, że Armia Wielkopolska nie tylko zastąpiła w walkach jedyne w historii Polski udane powstania – ale również wniosła duży wkład w odzyskanie Lwowa, Pomorza, Śląska i wojny z bolszewikami w 1920 r.